ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 1-go Sierpnia 1895. **Nr. 15.**

„ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Tego samego dnia wieczorem, Hołubek wracając z kopalni, spostrzegł na przedmieściu gromadkę górników, otaczających zanoszącą się od płaczu kobietę, której sukien trzymało się ośmioro dzieci, zawodzących wraz z matką.

Gabryel zbliżył się szybko do płaczącej i wnet się dowiedział, że wojacy austryaccy zabrali jej cały dobytek, a dom i inne zabudowania podpalili; męża zaś, który im się opierał, zbili tak, że skonał pod ich razami. Młody górnik zawrzał cały gniewem, a głębokie ciemne jego oczy zamigotały ogniem uniesienia; zwrócił się do Antka Szypełki, który był pomiędzy zgromadzonymi i poszeptał mu coś do ucha; potem kazał iść wdowie wraz z dziećmi za sobą i mówił po drodze do płaczącej:

— Nie płaczcie już tak, poczciwa kobieto! Płacz wam straty nie wróci, ale Bóg ukarze łupieżców i zabójców.... w domu moim znajdziecie z dziećmi schronienie, aż da Bóg wrócicie do swego.... bo kara Boża zawisła już nad krzywdzicielami.

Wprowadziwszy wdowę do świetlnicy, udał się Gabryel do mieszkania Ludki.

— Pani siostro — rzekł — przyprowadziłem ci sporo gości; ale mniemam, że zacne twoje serce nie odepchnie ich, ale podzieli się z nieszczęśliwymi ostatnim kawałkiem chleba.

Tu opowiedział Ludmile, kogo to i z jakich powodów przyprowadził do domu i tak zakończył.

— Przebrała się miara bezprawi wrogów.... Te ciężkie krzywdy ludu polskiego kamieniem leżą mi na sercu, nie zniosę tego dłużej... dość namysłów i wahania!... Teraz pójdźmy, siostro, do naszych gości, a po wieczerzy przyjdę tu do ciebie na naradę, i Semena ze sobą przyprowadzę.

Pani Adamowa ochoczem sercem i dobrem słowem przyjęła nieszczęśliwą gromadkę, zakrzątała się około nakar-

mienia i pomieszczenia płaczącej ciągle kobiety i jej ośmiorga dzieci, z których najstarsza czarnowłosa i niebieska Maryśka, zaledwie szesnaście lat liczyła.

Tego wieczora bardzo długo pozostał Gabryel w komnacie Ludki, a gdy ztamtąd wyszedł nareszcie, niezłomne postanowienie i wielka radość malowały się na jego szlachetnem obliczu.

Nazajutrz, daleko jeszcze było do świtu, gdy udał się do kopalni, tam już na głównym ganku podziemnym zebrani byli, przy świetle licznych pochodni, niemal wszyscy górnicy i radzili nad czemś bardzo żywo. Na widok ulubionego towarzysza, wydali okrzyk radości a Maciek Szypełka zawołał:

— Otośmy się zeszli wszyscy wczas, jakoś nam przez Antka polecił. Do rana daleko.... możemy spokojnie radzić, o czem to tam pragniesz.

Gabryel stanął na małem wzniesieniu, a krzepkie postacie górników otoczyły go ściśniętem kołem; wszyscy wzrok mieli utkwiony w twarz tego dorodnego młodzieńca, który w tej chwili zdawał się płonąć cały jak pochodnia, a w oczach jego palił się jakiś ogień niezwykły, gdy tak zaczął mówić:

— Najmilsi towarzysze i bracia kochani! Od wielu lat mię znacie, bo żyjemy i pracujemy razem; od dawniej jeszcze ojcowie wasi znali ojca mego, a wasze rodziny moją rodzinę. Wiecie więc, że jak nigdy nie było skazy na Hołubków imieniu, tak i ja uchroniłem się, za łaską Bożą, tego wszystkiego, co uczciwego człowieka plami; wiecie dobrze, że lubom grzesznik, przed Bogiem nigdy rozmyślna złość, obłuda lub kłamstwo nie splamiły ust moich, że szedłem zawsze prawdą i uczciwością. Mówię to nie dla tego, aby się przed wami wynosić i chwalić... Bóg widzi serce moje i sądzi!... lecz tylko w tym celu, abyście, bracia, i dziś mnie wysłuchali i zawierzyli słowom moim.

— Mów-no śmiele wszystko, co nam chcesz rzec — zawołał jeden z najstarszych górników — wierzyć ci i słuchać cię zawsze będziemy, bo chocieś młody ale sama uczciwość i roztropność przemawia przez ciebie. Do dobrego i cnoty nakłaniałeś nas zawsze, ile razy się odezwałeś; przeto i dziś mów, co masz mówić, a my cię słuchamy.

— Bóg wam zapłać, kochany towarzyszu, za te słowa uznania, zachęty i ufności! — podjął znowu Hołubek, widocznie wzruszony. — Jeźli mi wierzycie i ufacie, tedy pójdziecie za głosem moim! Wiadomo wam dobrze, jako pycha i złość sprawiła, że mamy obecnie dwóch królów; lecz jeden z nich tylko jest król prawowity, miłościwy nasz pan, Zygmunt III, potomek przesławnych Jagiellonów. Bo tego wybrała większość szlachty i rycerstwa; wszyscy niemal senatorowie i biskupi, a nasz najwyższy arcypasterz królem go ogłosił według istniejącego prawa. Drugi przeto obrany przez złość niecnotliwych, jest wdziercą i przywłaszczycielem, co się już i z tego pokazuje, jak sobie poczyna w kraju, którego chce być królem. Ażali to prawowity monarcha będzie niszczył ogniem i mieczem własne państwo? Ażali będzie ciemiężył, krzywdził i żywota pozbawiał poddanych, których ma być opiekunem i ojcem? Zaiste, że nie! A przecie arcyksiążę Maksymilian tak właśnie, czyni, jak to sami najlepiej wiecie. Ojczyzna, nasza matka deptana stopą wroga, woła dzieci swoje na pomoc, lecz oprócz jednego wiernego syna, który z najzacniejszymi zamknion i otoczon przemożnemi siłami, myśli o ratunku matki, nie ma jej kto spieszyć na ratunek!

— Bracia najmilsi! — wołał z wzrastającym ogniem Gabryel. — Czyż będziemy spokojnie patrzeli na poniżenie i krzywdy Ojczyzny? Nie jesteśmy wprawdzie szlachcice, nie jesteśmy rycerze, ale jesteśmy przecie Polacy, jesteśmy synowie tej ziemi, Ojczyzna jest także naszą matką, żywicielką, a my jej dzieci! Komu więc Bóg, komu wiara i Ojczyzna miła, niech biegnie na ratunek matce! Lichy ja człowiek, ale całem sercem kocham moją Ojczyznę, więc dłużej patrzeć nie mogę na jej krew, na jej łzy i krzywdy jej ubogich dzieci! Kto czuje tak samo, niech przy

mnie staje! Ja was poprowadzę, bracia najmilsi! I prędzej nie spocznę, miecza z ręki nie puszczę, dopóki nie polegnę, lub wroga z Polski nie wyżenię! Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

W czasie tej mowy Hołubka górnicy potrząsali groźnie oskardami, wznosili ręce do góry, płomienie przelatywały po ich śniadych twarzach, z oczu strzelały błyskawice, a gdy przebrzmiały ostatnie słowa młodzieńca, ze wszystkich piersi wydarł się jeden gromki okrzyk:

— Prowadź nas, prowadź! my z tobą idziemy, bracie! A prędzej nie spoczniem, prędzej broni nie złożym, dopóki jedni na drugich nie padniem lub wroga z Ojczyzny nie wyżeniem! Tak nam dopomóż Bóg i święty krzyż!

— My wszyscy z tobą, towarzyszu miły! Prowadź nas, prowadź! My choćby zaraz iść gotowi gdzie chcesz! — wołali coraz goręcej młodsi, a starsi dodawali:

— I my cię nie opuścimy! Z tobą i przy tobie będziem matki bronić! Wyżeniem nieprzyjaciół i krzywdy pomścimy!

Z ciemnych ócz młodego górnika iskry się posypały; wyciągnął ręce do góry i krzyknął z całej, przepełnionej piersi, której mu iedwo radość nie rozsadziła:

— Niech żyje Ojczyzna nasza Polska! Niech żyje nasz pan miłościwy Zygmunt III!

— Niech żyją! Niech żyją! — zahuczało podziemie radosnymi głosami. — Niech żyje matka nasza Polska! Niech żyje nasz król prawy!

— Niech żyje i nasz wódz kochany! Niech żyje Gabryel Hołubek! — wołali inni. — Niech żyje! Niech nas wiedzie! Niech prowadzi! Na wroga! Na wroga!

I tak rozbrzmiewały te głosy, pełne uniesienia i zapału, pod sklepionymi gankami, odbijały się o skaliste ściany, które je powtarzały setnemi echami.

Aż gdy się uciszyło nieco, zabrał znowu głos Hołubek, a towarzysze słuchali go z zapartym oddechem. Więc najpierw przedstawił im, że chcąc coś znaczniejszego dokazać, trzeba iść razem, zgodnie, sfornie, w jedności pod dowództwem jednego, którego bezwarunkowo słuchać trzeba. Że przeto, jeżeli chcą go mieć wodzem, tedy muszą mu złożyć przysięgę wierności i posłuszeństwa. Jednogłośny okrzyk zgody, był odpowiedzią na te słowa. Zaraz też przystąpiono do złożenia przysięgi na wierność, posłuszeństwo i zachowanie ścisłej tajemnicy. Dalej zobowiązali się wszyscy zaopiekować się rodzinami tych, którzyby polegli; Gabryel zaś dodał, że całe jego i siostry mienie, na usilną jej prośbę, będzie należało do wdów i sierót po poległych.

Nakoniec odezwał się Hołubek w te słowa:

— Dziś cały dzień pracujmy jeszcze w kopalni; ale skoro wieczór zapadnie, rozejdziecie się towarzysze mili po okolicy i będziecie całą noc i jutro cały dzień zbierać ochotników, aby nas jak największa zebrała się siła. Wy tedy dostarczycie żołnierzy, a ja postaram się o broń i prochy. Podwieczór zaś zjedziecie się wszyscy w lesie, pod trzema samotnie stojącymi dębami nad leśnem jeziorkiem, miejsce to prawie wszyscy znacie, tam was będę oczekiwał i dawał znać o sobie głosem rogu bawolego, iżby nikt się nie zabłąkał w puszczy. Tam uradzimy wszystko, co do naszej wyprawy potrzebne. Oto jest mój pierwszy rozkaz jako waszego wodza. A teraz Bóg wam zapłać bracia drodzy, za zaufanie i pomoc w mojem przedsięwzięciu.

Tu dzielny młodzieniec jął ściskać ręce swych towarzyszy, poczem wraz z nimi udał się spokojnie do codziennej pracy.

Wieczorem opowiedział Gabryel Ludce wszystko, co zaszło w kopalni. Pani Adamowa słuchała brata i z bijącem sercem i ze łzami w oczach, a gdy skończył i zaczął się wybierać w drogę, zarzuciła mu ręce na szyję, wołając:

— Niech cię Pan Bóg wspiera, bracie mój najdroższy! Tyś chwałą, radością i pociechą moją; jakżebym ja bez ciebie biedną była! Gdybym cię

już nad życie nie kochała, to teraz, za to coś uczynił, oddałabym z radością życie moje.

Rzewny smutek jakiś ogarnął Ludmiłę, więc szeptała dalej:

— Tak często doznaję głębokiej żałości, iż cię tak późno, Gabryelu, spotkałam! Czemuż nie było mi dane znać cię od dzieciństwa i miłować?

— Tak późno! — uśmiechnął się młodzieniec. — Toż ty zaledwie z dzieciństwa wyszłaś, pani siostro... i całe, długie życie leży przed nami.

Nagle jakby smutnem jakiemś przeczuciem ścisnęło się serce Gabryela, otrząsnął się przecież natychmiast z przytłaczającego uczucia, uścisnął Ludmiłę serdecznie i podążył na całą noc konno do Rabsztyna. Na zamku tamtejszym był starostą zwolennik Zamojskiego, do niego więc postanowił się udać Hołubek po broń i amunicyą. Starosta znał młodego górnika, więc przyjął go bardzo życzliwie i ugościł należycie; ale gdy mu Gabryel wyjawił, co zamyśla, i poprosił o broń, stary żołnierz zerwał się na równe nogi, wołając:

— Młodzieńcze zacny, ale nierozważny, czy ty wiesz, na co się porywasz?

— Wiem, panie starosto! Pójdę na wroga Ojczyzny, na krzywdziciela bezbronnych, będę bił i wyganiał, aż sobie nie pójdzie, skąd przyszedł.

— Chwalebna to waści intencya! Ale bo ty, nieboże, pokonasz taką siłę, jaką ma Maksymilian?!

— Ej, panie! gdyby się tak nikt nie oglądał na siły nieprzyjaciół, ale każdy szedł na nich, wnetby arcyksięcia i jego wojska w Polsce nie było!

— Co to, to masz waść słuszność! Hm! podobasz mi się nieżartem waćpan! Wiem ja, że ci na dzielności i cnocie nigdy nie zbywało... toć cię tam w Olkuszu królem kopalni zowią! Ale takiej rezolucyi i odwagi nie spodziewałem się nawet po tobie, panie Gabryelu!

— Przecie to znowu nic tak dalece wielkiego obstawać za Ojczyznę gnębioną i za niewinnym ludem krzywdzonym! Śp. rodzic mój mawiał, że to święty obowiązek każdego prawego Polaka.

— Prawdę mówił waści ojciec i nic dziwnego, że syn podobny do niego! Nie będę ja cię też, młodzieńcze, od obowiązku odwodził, kiedy go sam tak ochoczo na się bierzesz, a co będę mógł, to jeszcze pomogę. Ile tedy waść żądasz broni i amunicyi?

— Przynajmniej trzy dobrze naładowane wozy, panie starosto! — zawołał uradowany Hołubek, objaśniając zarazem starostę, gdzie mają wozy być wysłane. Przyrzekł on tej jeszcze nocy broń wysłać i pożegnał prawie wzruszony młodego górnika.

Na drugi dzień rano był już Gabryel z powrotem w Olkuszu. Najpierw udał się do kościoła, przystąpił z wielką skruchą i pobożnością do spowiedzi i komunii św., po której długo krzyżem leżał, polecając w gorącej modlitwie siebie i swoją sprawę opiece Bożej. Następnie poszedł na groby rodziców i ciotki Ewy, gdzie znowu modlił się żarliwie. Poczem wróciwszy do domu przybrał się w najpiękniejsze szaty, rozkazał czeladnikowi okulbaczyć najdzielniejszego konia i jął się żegnać z domownikami, ich poczciwości dom swój i mienie polecając, oraz rozkazując, aby młodej pani statecznie słuchali i miłowali ją. Nakoniec udał się do komnaty pani Adamowej. Ludmiła, z oczyma błyszczącemi radością i dumą przywitała brata, ale gdy ten powiedział, że nadeszła chwila wyjazdu, nagle zbladła i zachwiała się. Dotąd upojona myślą o wielkich czynach, których miał ukochany brat dokonać, nie miała czasu zastanawiać się nad niebezpieczeństwami, na jakie się narażał; zwłaszcza, że ciągle obawiała się, czy tylko zamiar Gabryela przyjdzie do skutku. Teraz dopiero, gdy już wyprawa była pewna, stanęły jej w oczach krwawe zapasy z przeważającą siłą, na którą się dzielny młodzieniec tak odważnie rzucał i niewysłowiona trwoga ścisnęła jej serce. Ale Ludmiła była prawdziwą Pol-

ką, nieodrodną siostrą swego brata, stłumiła więc śmiertelny niepokój, żal, który ją całą przenikał, tuląc się do piersi brata, rzekła dość pewnym głosem:

— Jedź najdroższy, nadewszystko umiłowany bracie! Niech cię prawica Boża prowadzi!... Ale Gabryelu najmilszy!... będziesz odważny i mężny... dobrze ja wiem o tem... i nie proszę cię też, abyś się za innych w boju chował... nie, nie... ale bracie mój... nie będziesz się naprożno narażał... będziesz ostrożny i uważny, bo Gabryelu!... ach! mnie strach wymówić to słowo... gdyby... gdyby ciebie nie stało... ja żyćbym bez ciebie nie mogła... nie umiała...

Tu tak bolesnem wybuchła łkaniem nieboga, aż mężne serce młodzieńca zadrzało.

— Siostro moja kochana — rzekł słodko, ale poważnie — Bóg jest Panem życia i śmierci, w każdej chwili może go nas pozbawić, lecz może też zachować je wśród największych niebezpieczeństw. Czyż ja w kopalni nie jestem co dzień narażony na stratę życia? Bóg mnie strzegł dotąd, Bogu się poleciłem i nadal, w Nim moja nadzieja! Bądźże i ty, moja słodka siostrzyczko, spokojna i ufaj w miłosierdzie Boże. Nie jadę zresztą, aby koniecznie zginąć, przeciwnie, po to ciągnę na wroga, aby go zwyciężyć i precz wygnać, i mam nadzieję, że się tak stanie. Bądźże i ty dobrej myśli i otrzej oczy. Da Bóg będziemy się widywać raz po raz, bo przecie będę się tu kręcił w okolicy Olkusza... przynajmniej w pierwszym czasie.

Ta pełna wiary i nadziei mowa Gabryela wlała jakoś otuchę w serce Ludki, przestała płakać, uścisnęła brata gorąco, zawiesiła na jego szyi szkaplerzyk, szepcąc:

— Niech cię Najśw. Panienka ma w swojej opiece i strzeże na każdym kroku, a Swoją przyczyną wyjedna ci u Syna zwycięztwo nad wrogiem!

— Amen! — odpowiedział Gabryel, uścisnął siostrę raz ostatni i wyszedł do sieni; tu oglądając się w koło spytał:

— Ale gdzież się to Semen chowa? że go nigdzie przydybać nie mogę! Szukałem go już po całym domu, chciałem go pożegnać i prosić, aby czuwał



Św. Monika (Obacz obj. rycin na str. 240).

nad tobą, pani siostro, a on...

W tej chwili ukazał się stary przyjaciel i powiernik Hołubków, przybrany jak na bitwę, z szablą przy boku i kru-

cicą za pasem. Podszedł szybko do Ludmiły, objął jej kolana i rzekł wzruszonym głosem;

— Zostań z Bogiem, moja najmilsza pani, niech cię tu Anieli niebiescy strzegą!

— Jakto? Czybyś zaś i waść chciał iść z nami? — zawołał zdziwiony Hołubek. — Jać myślałem, że opiekunem zostaniesz mej siostrze... a teraz... jakże ona tu nieboga...

— Oh! nie obawiaj się o mnie, kochany bracie — przerwała szybko Ludka, rada bardzo, że Semen będzie przy boku Gabryela — Bóg będzie czuwał nade mną i nad całym domem. Jedźcie spokojnie z Bogiem!

— A to dobre! Więc waszmość myślałeś, panie Gabryelu, że się stary już na nic w polu nie przyda? — wołał, udając oburzenie, rozpromieniony Semen. — Było się to, było na niejednej wojence... toć tam na kresach prawie ciągła wojna. Teraz zaś choć dobrą radą młodym się przysłużę. Pozwólże mi, waść, jechać z sobą, niechże też aby jeden szlachcic będzie z wami...

— Jeżeli taka wola waści... i moja pani siostra nie obawia się zostać sama, tedy z radością biorę waćpana, jako najmilszego towarzysza — odparł młody górnik, podając rękę staremu.

— Toć już jedźmy, kiedy tak! hajda! — zawołał wesoło Semen i obaj z Gabryelem wyszli przed dom. Tu raz jeszcze żegnała Hołubka jego wierna czeladka, biedna wdowa, którą w dom przyjął i jej ośmioro dzieci, z pomiędzy których choża i rumiana Maryjka ócz oderwać nie mogła od dziarskiego młodego górnika. Ludka choć ją łzy dławiły, hamowała płacz ze wszystkich sił, bo nie chciała wobec ludzi pokazywać swojej boleści. Gabryel dosiadł konia, ostatniem, długiem spojrzeniem pożegnał siostrę, i cichy dom rodzinny, gdzie mu lat tyle upłynęło w spokoju i szczęściu, i wolno wyjechał za bramę.

W towarzystwie pachołka i Semena, ubrany w piękny świąteczny strój górnika, siedząc na koniu wielkiej wartości, jechał Hołubek przez miasto. Jaki taki popatrzał z upodobaniem na śliczną iście rycerską postać młodzieńca i pomyślał sobie, dokąd też taki strojny w dzień powszedni jedzie. Wszyscy tu znali Gabryela, szanowali go i lubili, lecz nikt nie przeczuwał w tej chwili, że niebawem imię jego zasłynie szeroko, że powtarzać je będą w całej Polsce, jedni z podziwem i uwielbieniem, drudzy z gniewem i wściekłością.

Przez cały ten dzień żaden z górników nie pokazał się w kopalni; urzędnicy i dozórcy dziwili się okrutnie i w głowy zachodzili, co się stało tym niezmordowanym, pilnym i uczciwym robotnikom, że się nie stawili do pracy; nie przypuszczali oni, że wnet dowiedzą się o jeszcze jednym przymiocie tych zacnych ludzi, którego się u nich dotąd nie spodziewali.

Hołubek przyjechawszy do lasu, pod trzy dęby, zastał już tam trzy naładowane wozy broni i amunicyi, oraz gromadkę ochotników, których schodziło się coraz więcej tak, że gdy głęboka noc zapadła było przeszło dwa tysiące ludzi, gotowych na bój z nieprzyjacielem. Młody dowódzca podzielił te swoje wojsko na sotnie, ustanawiając nad każdą setnika; każdemu setnikowi oddał pod rozkazy pięciu namiestników, z których znowu każdy miał dwudziestu ludzi pod komendą. Semena zaś, jako obeznanego z wojennem rzemiosłem, ustanowił swoim namiestnikiem; następnie odebrawszy od ochotników przysięgę wierności, posłuszeństwa i tajemnicy, rozdał prochy i broń. Nie starczyło jej dla wszystkich, więc reszcie rozkazał uzbroić się w górnicze oskardy, zabrać z sobą jesienną odzież i zapas żywności na trzy dni; pobliskie zamki, których jeszcze Maksymilian i Zborowscy nie zajęli, wyznaczył na miejsca zbierania się i schronienia w czasie wojny podjazdowej. Nareszcie po kilku jeszcze dniach przygotowań i ćwiczeń, rozpoczął Gabryel wojnę z Austryakami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Módl się i pracuj!

Legenda.

Poznawszy Błażej marność tego świata,
Poszedł na puszczę na wielkim rozłogu,
By w modłach, trudach dalsze pędzić lata,
W poście, czuwaniu poświęcić się Bogu.

W nocy spał krótko, a znów dzionek cały
Przepędzał w pracy, aby się wyżywić,
To znów w modlitwie Boskiej szukał chwały,
Aby swą duszę koić, uszczęśliwić.

Pracując, śpiewał, nader był szczęśliwy;
Pracą ustawną krzepił swoje ciało,
A duszą wszystką wielbił Boskie dziwy;
Żyjąc jak anioł, doznał łask niemało.

Gdy się wciąż modlił w świętem zachwyceniu,
Częstokroć miewał niebieskie widzenia.
»Boże najsłodszy!« rzekł raz w uniesieniu,
»Dozwól, bym Ciebie wielbił bez skończenia!...

Ptaki wyżywia Twa Opatrzność święta,
A choć nie sieją, nie wiedzą o głodzie;
Niechże i o mym łaskawie pamięta,
Bym nie uprawiał ziemi w swym ogrodzie.

Niech żadna troska zapału nie głuszy;
Modląc się ciągle, niech się w niebo wznoszę,
Póki Twa ręka nie uwolni duszy
Z powłoki ciała, o to szczerze proszę!«

Pan Bóg wysłuchał prośby pełnej wiary.
Co rano bywał rajski chleb w jaskini;
Błażej szle dzięki gorące za dary,
W zachwycie tylko służbę Bożą czyni.

Ale niebawem tęsknota go bierze
Podczas modlitwy, z początku nieznacznie;
Dręczą wnet nudy, gdy mówi pacierze,
W końcu lenistwo nachodzić go zacznie.

Wstawał już później, zmieniła się skrucha,
Już się nie modli w dawniejszym zapale;
Jakaś myśl grzeszna sidli jego ducha,
W nocy odpędzić nie zdoła jej wcale.

Tymczasem bardziej rajski chleb czernieje,
Błażej ustąpił myśli złej i zgrzeszył;
Chleb zniknął całkiem. Widząc, co się dzieje,
Z miłej ustroni znowu w świat pospieszył...

W kniei szczęśliwie młode spędził lata,
Teraz podeszły w czyny swe nie wnika,
Idzie na oślep znów używać świata,
Lecz Bóg nie pragnie zaguby grzesznika.

Skoro raz Błażej opuścił mieszkanie,
Padł przed nim młodzian (a obaj się znali):
»Tyś święty,« rzecze, »udziel rady, panie,
Ogień nieczysty moją duszę pali!

Znasz moje cnoty, chroń mnie od upadku!...«
»Jest pewna rada, by zwalczać złe chęci:
Módl się gorąco i pracuj w dodatku,
Złe cię ominie, wyryj to w pamięci!...«

Naraz wstyd wielki ogarnął Błażeja,
Że drogę radzi, sam przewrotnie czyni,
Że zatracenie wróży mu nadzieja...
Podniósł młodziana — wrócił do jaskini.

Tam padł na ziemię i płakał boleśnie
Dzień i noc całą, żałując za grzechy;
Gdy zasnął rano, rzekł mu anioł we śnie:
»Ułomny człeku, doznałeś pociechy?

Widzisz, że pracą pogardzać nie trzeba.
Gdy w niej pogrążysz ciało w dziennej porze,
A przez modlitwę zyskasz łaski nieba,
To duch twój ciałem snadniej rządzić może!...«

Skłonił się Błażej do pracy, modlitwy,
Żył też szczęśliwie, od złego daleki;
Unikał zawsze światowej gonitwy,
W końcu szczęśliwie zawarł swe powieki.

J. Chmielewski.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

Święty Ambroży.

Nie tylko biskupie swoje powinności sprawował i wypełniał święty biskup doskonale, lecz był też wzorowym obywatelem. Cesarz miał do niego wielkie zaufanie, a nawet cesarzowa, która się skłaniała do aryanów, umiała ocenić wartość tak sumiennego biskupa. To się mianowicie pokazało wtenczas, kiedy umarł cesarz Walentynian. Wojsko ogłosiło cesarzem pewnego wodza w Trewirze. Cesarzowej groziło niebezpie-

czeństwo, że utraci panowanie. W największym strachu udała się cesarzowa do Ambrożego, złożyła w ramiona jego syna swego dwunastoletniego i prosiła,



WIEK DZIECIĘCY. (Obacz objaśnienia rycin na str. 240.)

aby zastąpił mu ojca. Ambroży wyjechał naprzeciw Maksymowi, tak się nazywał ów wódz, i udało mu się go skłonić do tego, iż nie wkroczył do Włoch. Chociaż Ambroży był podległy cesarzowi w sprawach świeckich, obywatelskich, to występował przeciw niemu śmiało i otwarcie, jeżeli przestępował przykazania boskie. Tego dał dowód mianowicie w obec cesarza Teodozyusza Wielkiego, kiedy tenże splamił się wielkim, krwawym mordem.

W mieście Tessalonice powstał bowiem bunt, nietylko zabił lud kilku urzę-

dników, lecz i samego namiestnika, którego ciało wleczono po ulicach. Teodozyusz postanowił zemścić się bardzo. Ambroży starał się odwieść go od tego zamiaru, lecz radzcy cesarza, mianowicie Rufinus pobudzali go do zemsty. Dla tego Teodozy rozkazał, aby się lud zebrał w teatrze, a potem kazał żołnierzom wpaść i zabijać każdego. Rozkaz odszedł. Krótko potem zrobiło się cesarzowi żal i kazał odwołać polecenie. Lecz już było za późno. Rozkaz wypełniono dosłownie i siedm tysięcy ludzi zamordowano bez sądu, bez pytania, kto był winnym a kto niewinnym.

Kiedy wiadomość o morderstwie doszła do Medyolanu, gdzie się cesarz właśnie znajdował, wszystkich przejął strach i oburzenie. Mianowicie zasmucił się Ambroży, bo bolało go bardzo, że cesarz, zresztą poczciwy i szlachetny tak nisko upadł, i uznał, że kościół musiał go ukarać, chociaż winowajca siedział na tronie cesarskim. Czekał jednak przez pewien czas, czy cesarz sam się nie upamięta i pokuty nie uczyni. Potem napisał do niego list, w którym mu przedstawił, jak wielkim był grzech i jak potrzeba było za niego pokutować. Pisał pomiędzy innemi tak: jesteś człowiekiem, pokusa cię zwyciężyła; potrzeba, abyś teraz ty ją zwyciężył. Grzech twój tylko łzami może być zmyty. Bez łez żaden anioł ani archanioł nie może ci odpuścić. Chrystus Pan sam tylko pokutującym odpuszcza grzechy. Do pokuty cię wzywam, namawiam i zaklinam. Jakże szczęśliwym byłeś we wszystkich wojnach, pełne chwały są wszystkie inne twoje czyny. Zawsze podziwialiśmy pomiędzy twemi cnotami przedewszystkiem twoją łagodność. Nie chciej sam niszczyć dzieł swych darów. Duch wrogi pozazdrościł ci twych wielkich cnót; pokonaj go, kiedy sposobność do zwycięztwa jest tak korzystna. Nie powiększaj swego grzechu, biorąc udział w przestępkach innych.

Wykazał potem Ambroży cesarzowi że póki pokutą grzechu swego nie zgładzi, to biskup nie może w jego obecności sprawować misyi, ponieważ publicznym wielkim grzechem wykluczył się z kościoła. Kocham cię, pisał, i modlę się za ciebie. Jeżeli wierzysz, to wysłuchaj prawdy i słów mych; jeżeli zaś niewierzysz, to nie miej mi za złe, że Boga wyżej stawiam jak cesarza.

Teodozyusza poruszyły wprawdzie słowa apostolskie, lecz mimo to ośmielił się pójść do kościoła, nim pokutę uczynił. Kiedy doniesiono biskupowi, że cesarz się zbliża, poszedł mu przed kościół naprzeciw i śmiało przemówił do niego tak:

Zdaje się, cesarzu, że jeszcze nie pojmujesz, jak wielki grzech popełniłeś morderstwem, nawet teraz, kiedy złość minęła. Może władza cesarska przeszkadza ci, że grzechu uznać nie możesz, bo władza zaciemnia rozum. Rozważ przecież jak nasza natura jest słabą i znikomą, spojrzyj poważnie na pierwotny pył, z którego powstaliśmy i w który się znowu obrócimy. Cesarską władzą zaślepiony nie zapominaj o tem, że płaszcz cesarski pokrywa słabe ciało. Władniesz, cesarzu, nad ludźmi, którzy są równej z tobą natury, którzy są sługami z tobą. Jeden jest panem i królem wszystkich, stwórca i Bóg świata. Jakiemi oczami spoglądać chcesz na świątynią tego, który jest panem wszystkich? Jakże chcesz nogami wstąpić na święte miejsce? Jakże chcesz ku niebu wyciągnąć ręce splamione krwią niewinną i przyjąć najświętsze ciało Pańskie? Jakże chcesz usta twoje otworzyć i przyjąć przenajświętszą krew, któryś, pchany wściekłym gniewem, przelał tyle krwi bezprawnie? Cofnij się, nie śmiej grzechu swego powiększyć nowym grzechem. Przyjmij więzy, które Bóg, pan wszystkich, z góry nakazał. Mają one moc leczącą dla choroby duszy, i przywrócą jej zdrowie. (Dokończenie nastąpi).

OBRAZKI CZESKIEGO ODRODZENIA.

Z LISTÓW I OPOWIADAŃ EDWARDA JELINKA.

(Ciąg dalszy.)

Prócz tego i w Milwaukee był czynnym, jako pisarz, nawet wydawał tam przez dwa lata czasopismo, zajmujące się sprawami głównie Czechów dotyczącemi. Za jego staraniem urządzonem zostało pierwsze zgromadzenie i związek czeskich wychodźców. W tym czasie odbył Naprstek dwie większe podróże do średnich i zachodnich Stanów, przyczem prowadził ajenturę, pełnił urząd publicznego notaryusza i stał się nareszcie tłómaczem urzędowym języków słowiańskich.

Sprzedawszy później księgarnię, odbył znowu podróż po Ameryce, tym razem na Południe. Odwiedził Chicago, St. Louis, Nowy Orlean, Mobile, Montgomery, Waszyngton i t. d. W podróżach tych zwracał uwagę na urządzenia licznych zakładów naukowych, dobroczynnych i przemysłowych. Jednocześnie zbierał już wtedy przedmioty dla przyszłej, obecnie istniejącej czeskiej przemysłowej zbiornicy w Pradze. W roku 1857 opuścił Amerykę, odpłynął z Nowego Jorku do Europy i stanął w Paryżu, gdzie doczekał się nareszcie pozwolenia rządu do powrotu do ukochanej ojczyzny. Wróciwszy do Pragi, osiadł w domu rodzinnym w Halanku, obok sędziwej matki, która tonąc w łzach radości, przycisnęła go do swego serca. Odtąd rozwinął Naprstek regularną, dobrze obmyślaną pracę dla dobra czeskiego ogółu.

Całe życie Naprstka cechuje jedna przewodnia namiętność: aby był sam użytecznym i innych do użytecznego działania zachęcał. Pomimo dążności swej, aby zawsze być praktycznym, jest on największym marzycielem, jakiego udało mi się poznać na świecie; połączenie tych cnót dało nam obywatela, jakim śmiało pochlubić się możemy... do ocenienia go pomagali nam już nieraz nawet i Niemcy i Anglicy.

Nie może być moim zamiarem, mój drogi, podać wyczerpujący obraz zasług pana Wojciecha, choćby tylko dla tego, że w domu »u Halanku« dotąd jest, jak bywało podczas życia »pani mamy,« to jest, że tam nie wie lewica, co robi prawica, lecz mam nadzieję, że wystarczy, jeżeli zwrócę uwagę twoją tylko na kilka rzeczy w oczy bijących.

Mówiąc o Naprstku, zwykle ma się na względzie przedewszystkiem czeską zbiornicę Przemysłową, którą założyła matka, a on wraz z żoną swoją, panią Józefą, doprowadził do obecnego świetnego stanu, który uderza każdego, kto zważy, że to wszystko jest plon przez jednego prawie zniesiony człowieka. W tym względzie macie w Krakowie pierwowzór w muzeum pana Baranieckiego. I praska zbiornica Przemysława ma mniej więcej tę samą cechę i doniosłe znaczenie. Zawiera ona dziś już mniej więcej 30,000 przedmiotów, które kilka lat temu rozpoczęto przenosić do nowego trzechpiętrowego gmachu, znajdującego się w samem sąsiedztwie domu »u Halanku.« Zbiory zwiększały się ciągle i zawierają rzeczy z całego świata, mianowicie też z Afryki, Chin i Indyi. Znani czescy podróżnicy, jak Holub, Feistmantel, Czurda, Stecker i inni złożyli tu bogactwa zagranicznej i zaoceańskiej pracy. Rozumie się, że i wyroby swojskie nie podrzędne tam zajmują miejsce. Taki naprzykład zbiór staroczeskich czepków, pysznie wyszywanych, prawdziwą jest rzadkością.

Ale, mój drogi, przedmioty zbiornicy, to rzeczy zanadto zawodowe; ani rozbiorem, ani spisem ich zajmować się nie będę, dosyć, jeżeli powiem, że zbiornica ta w swoim czasie znaczny i praktyczny wpływ wywrzeć może na rozwój czeskiego przemysłu, co zresztą jedynym jest jego celem.

Prócz tego był i jest dom Naprstka ogniskiem, w którem zrodziło się mnóstwo zamiarów doniosłego znaczenia.

Przypomnę tylko sprawę równouprawnienia kobiet, którą Naprstek zawsze czynnie i gorliwie popierał. Założył on lat temu 25 tak zwane »Kółko amerykańskie pań,« którego sam był duszą. Czynność kółka bardzo była obszerna i miała na celu: rozumne przeprowadzanie równouprawnienia kobiet w duchu czeskim doprowadzić do skutku, co działo się za pomocą odczytów dla kobiet, urządzanych w pokoju Naprstka, przez dostarczanie książek młodym kobietom itd. Kółko zajmowało się też czysto praktycznemi sprawami, dostarczało sposobności poznajomienia się z wszelkimi nowymi wynalazkami, tam też zakiełkowała myśl założenia osobnego domu sierót dla dziewcząt. Na ten cel zebrano przeszło 30,000 złr.

Pan Wojciech był do tego niezaprzeczenie najznakomitszym czeskim zbieraczem książek. Jego książnica, która miała już cechę biblioteki publicznej, liczy obecnie około 45,000 tomów. Znajdziesz tam prawie wszystko, co w ciągu ostatnich lat stu wyszło w języku czeskim; z innych zaś płodów naukowych, mianowicie angielskich, niemieckich, dzieła pomnikowe i ważne dla poznania pracy ludzkiej. Z szczególną troskliwością uzupełniał i pielęgnował pan Naprstek niektóre oddziały, jak np. dział opisów podróży, krajów, przemysłu i t. d. Osobny jest dział, odnoszący się do sprawy kobiet (przeszło 1000 tomów). Jako nadzwyczajność podnoszę wcale niezły zbiór płodów nauki chińskiej, znajdujący się w książnicy Naprstka. A jeżeli chcesz korzystać z tych książek, często bardzo znajdziesz ślady pracowitości pana Naprstka; zakreśla on bowiem w nich ołówkiem czerwonym miejsca, dotyczące spraw kobiecych; te zaś, które odnoszą się do spraw dobroczynności, zakreślone są niebiesko.

W ogóle często bardzo spotkasz się z zapiskami gospodarza, który kupował tylko takie książki, po których się spodziewał, że korzyść przynieść mogą teraźniejszym i przyszłym czytelnikom. Wszystko on to zbierał, kupował i gromadził, ażeby inni korzystać mogli. Dla tego też prawdziwe sprawiało mu zadowolenie i przyjemność, jeżeli u niego kto do swej pracy znalazł, czego szukał. Naturalnie, zdarzało się to nieraz.

Zacny gospodarz objawiał niestrudzoną wytrwałość w służeniu ludziom pracy. Ileż to on miał rozmaitych pudełek i tek, w których składał i zbierał materyały najrozmaitsze »na wypadek potrzeby.« Ileż to on wycinków z gazet rok rocznie nabywał w najrozmaitszych sprawach, wszystko to znajdziesz na swojem miejscu starannie naklejone w osobnych księgach i tekach. Ile tam mają planów, podobizn, fotografii, to sam Bóg wie; pewnem jest tylko, że znajdziesz tam rzeczy, najmniej nawet spodziewane i to zawsze »na wypadek potrzeby.«

Rozumie się, że do wszystkiego tego trzeba nietylko odpowiedniego majątku, lecz i szczególnego zamiłowania, połączonego z chęcią do pracy. U Naprstków zawsze się pracuje. Pani Józefa Naprstkowa była od rana do nocy na nogach, to w kuchni, to w sklepie, w którym zarabiała grosz, podobnie jak za życia nieboszczki »pani mamy,« to w zbiornicy, uporządkowaniem której ona jak najgorliwiej się zajmowała. Mówiła ona, że ani czasu nie ma na chorowanie.

Zaraz na początku niniejszego listu nadmieniłem, że podwoje domu »u Halanku« zawsze były dla gości otwarte. Dla naszego życia ma okoliczność ta szczególne znaczenie, zwłaszcza jeżeli się gościnność w takiej, jak u p. Naprstka, objawiała dążności. Jeżeli zawitała do Pragi jaka wybitna osobistość, zawsze wprowadzaną bywała do Naprstków. Było to już zwyczajem i potrzebą. Niema w Pradze domu drugiego, gdzieby było można wprowadzić gościa bez szczególnych zabiegów i form.

Pokój ów pana Naprstka, którego ściany przepełnione są od podłogi do sufitu książkami i obrazami, jest od długiego już szeregu lat jedynem a pożądanem wielce miejscem schodzenia się czeskiej inteligencyi, ludzi pracy i wybitniejszych przejezdnych. Przez cały

rok co dzień, nie wyjmując największych świąt, w godzinach południowych wprowadzać było można miłego gościa, pewny będąc, że chętnie bywał tam widziany. Spotykałeś się tam zwykle z garstką osób, z profesorami, uczonymi, pisarzami i ludźmi sztuki, z których część jedna przyszła w celu załatwienia spraw najrozmaitszych, druga znów dla prostej pogawędki o rzeczach będących na porządku dziennym. Na stołach zawsze znalazłeś dla przejrzenia nowości z całego świata, książki, ryciny, fotografie itd. A jak rozpromieniała się twarz gospodarza, jeżeli widział, że goście jego są zadowoleni!

Czasami nawet bardzo gwarno bywało w pokoju Naprstka, zwłaszcza w czasie rozmaitych zjazdów, których nie brak w Pradze. Tak n. p. przy sposobności gromadnych odwiedzin teatru narodowego przez Czechów z Ameryki stał się dom Naprstka ogniskiem dla wszystkich. Tam zbierali się, tam odbierali objaśnienia, tam zasięgali wszystkich rad i wskazówek. Nie był też to wymysł, że wtedy nazwano p. Wojciecha »najlepszym naszym Amerykaninem.« Trzeba zajrzeć w książkę, w której na pamiątkę zapisywali goście Naprstka nazwiska swoje, ażeby się przekonać, ile ludzi i jacy ludzie bywają w tych progach. Znajdziesz tam podpisy i najwybitniejszych osobistości polskich, przejeżdżających w ostatnich latach trzydziestu przez Pragę.

Jednostajne codzienne zebrania u Naprstka nazywały się po czesku »dychankami.«

Przy boku małżonki, współdziałającej w tych samych celach, w otoczeniu ludzi pracy i na śledzeniu postępu wiedzy ludzkiej przepędzał Naprstek dni życia. Zachowywał on zawsze cechę skromnego obywatela, unikał starannie wszelkich grzeczności i nie znosił pustych pochlebstw. Lecz uścisk jego dłoni był ciepły i pewny. Jedno pojęcie górowało w duszy jego, pojęcie pracy, którą uważał za największą cnotę, bo ona istotnie wyrabia usposobienie i jest podstawą bytu narodowego.

Mój drogi, nie wiem, jak dalece udało mi się przedstawić ci w niniejszych rysach iście ludową postać prażskiego mieszczanina Wojciecha Naprstka i jego domu, wypadało jednak uwydatnić ją.

NIETOPERZE.

Zanim przyjdziemy do właściwych nietoperzy czyli gacków jak je lud nazywa, musimy wspomnieć o jednym rodzaju zwierząt, których uczeni nie mogą z zupełną pewnością zaliczyć do pewnej określonej gromady. Jedni zaliczali je do małpiątek, inni do nietoperzy, inni znowu do drobnych drapieżnych zwierząt; do dzisiejszego dnia trwają te różnorodne zdania i jednakowe pojęcie pod tym względem jeszcze się nie wyrobiło. Zwierzęta te bowiem nie są w zupełności ani jednem, ani drugiem, ani tem lub owem w całem znaczeniu tego wyrazu, chociaż w budowie swego ciała posiadają taki lub inny szczegół, który je zbliża do wyżej wymienionych gromad. Najwłaściwiej zamieścić je pomiędzy małpozwierzami i nietoperzami, ponieważ stanowią łącznik, ogniwo przejściowe pomiędzy jednym a drugim rzędem. Są to maki i nietoperze, a jednak ani jedno, ani drugie z osobna.

Maki latający jest jednem z tych dziwnych jestestw, w które świat Wysp Indyjskich tak obfituje; Sumatra, Borneo, Celebes, Java, Timor są jego ojczyzną. Głowa jego zupełnie jest taka jak małpozwierza Maki, na przednich i zadnich kończynach ma też pięciopalczyste ręce, lecz krótkie ich palce nie mają paznog-

ci, ale pazury. Sierć z wierzchu czerwono-brunatna, pod spodem jaśniejsza, z wewnętrznej strony biaława; młode zaś do zadnich i dalej aż do końca ogona, rozpięta jest z obu boków ciała szeroka skóra, za pomocą której zwierzę



WIECZÓR ŻYWOTA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 240.)

mają białe centki i pręgi. Właściwa cecha tego zwierzęcia polega na tem, że od głowy do przednich rąk, od tych może się utrzymywać w powietrzu jak na spadochronie. O właściwem szybowaniu w przestworach powietrznych nie

może być mowy, ani też o locie w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, lecz ten ruch w powietrzu odbywa się tak, że zwierzę siedząc na gałęzi wysokiego drzewa, rozpina swą lotną skórę i rzuca się na dół w ukośnym kierunku na takiejże zasadzie, na jakiej żeglarz powietrzny uczepiony do spadochronu, opuszcza balon i dostaje się na ziemię. Spostrzeżono, że zwierzę z wysokości 15 metrów może uczynić przez powietrze skok w ukośnym kierunku na odległość 70 metrów. Ponieważ ta skóra jest włosem porosła, przeto nadano mu nazwę kosmatego latawca. Podobny ustrój napotykamy u latającej wiewiórki (polatuchy) i u torbaczy, czyli zwierząt workowatych. Wszyscy badacze jednomyślnie zgadzają się na to, że makilatawiec żywi się liśćmi drzew, że zatem powinowactwo jego z owadożernemi jest wątpliwem. We dnie, latawiec spoczywa nieruchomie uczepiony do gałęzi drzewa, od której mchem pokrytej kory, sierć zwierzęcia wcale się nie odróżnia, barwą swoją stanowiąc naturalną ochronę; ku wieczorowi ożywia się, pełznie z gałęzi na gałąź coraz wyżej, czepiając się ostremi swemi pazurami i szuka pożywienia, a potem dosięgnąwszy pewnej wysokości, rzuca się w ukośnym kierunku na pień innego drzewa, rozpoczynając na niem takąż samą wędrówkę. Nie można się dziwić, że krajowcy, a nawet Europejczycy zamieszkujący te kraje nadali temu zwierzęciu rozmaite nazwy, jak: lis latający, kot latający, małpa latająca, wielki nietoperz, i wiele innych jeszcze nazw, które wszystkie oznaczają naszego maki latawca, spokojne, nieszkodliwe zwierzę, nie toczące walki z nikim, nawet z sobie podobnemi. Indusi znajdują mięso jego smacznem, Europejczycy zaś wstrętnem; kwestya ta musi pozostać nierozstrzygniętą, ponieważ o gustach wyrokować nie można.

Zupełnie co innego są właściwe nietoperze czyli gacki. U nich palce przednich łap są niesłychanie wydłużone i połączone cienką, z obu stron nagą skórką, dochodzącą aż do zadnich kończyn, ale tylko do stóp, tak że palce są zupełnie wolne. Te są zaopatrzone silnemi pazurami służąc zwierzęciu do zaczepiania się o wystające przedmioty i zwierzę wisząc na nich głową na dół, pozostaje w spoczynku. Wytrzymałość lotu nietoperzy jest bardzo wielka, lecz różna, w miarę budowy narządów do latania. Tak np. wązkolotne odznaczają się szybkim, zręcznym, zdolnym do nagłych bocznych zwrotów lotem, szerokolotne zaś latają powolniej, przeważnie w prostym kierunku. Nie tylko z wielkości zwierzęcia, lecz ze sposobu poruszania się i z wysokości wznoszenia się jego w powietrze, można sądzić o jego locie. Lot ten nie jest bardzo wytrzymałym; już po upływie krótkiego czasu nietoperz zaczepia się za gałęzie drzew albo za występujące części muru, dla wypoczynku. Lecz powietrze jest właściwym dla nich żywiołem: na ziemi są niezgrabne.

Wszystkie nietoperze są zwierzętami nocnemi; we dnie śpią ukryte w rozpadlinach. Wypróchniałe drzewa, strychy, wieże, pieczary, w ogóle miejsca mało uczęszczane, są ich ulubionem miejscem pobytu. Nie rzadko można je napotykać w kominach, co dało powód do mniemania, że korzystają z zawieszonej tam do uwędzenia słoniny, co nie jest zgodne z prawdą i obwiniać ich o to nie można. W ogóle przypisują im wiele złego, bez żadnej słusznej przyczyny, gdyż człowiek nadto jest skłonny do potępiania wszystkiego co się boi dziennego światła i przypisywania podobnym tworom szkodliwych czynności. Jest to zupełnie błędne mniemanie, gdyż przeciwnie, nietoperze, w gospodarstwie przyrody, są bardzo pożytecznemi zwierzętami. Nietoperze zamieszkujące Europę żywią się wyłącznie owadami, mianowicie ćmami, chrząszczami, muchami i komarami. Widzimy je ścigające w locie przeważnie latające owady, lecz ponieważ spostrzegamy je często przelatujące tuż koło murów, drzew i krzaków, można ztąd wnosić, iż chwytają i siedzące owady, jak to we dnie czynią jaskółki, zwłaszcza w czasie pochmur

nego powietrza, które owady mniej do lotu usposabia. Do tego należy dodać, że nietoperze posiadają bardzo dobry apetyt, a prędko strawiwszy połknięty pokarm, niezwłocznie potrzebują nowego pożywienia. Altum dostrzegł, że jeden nietoperz połknął jednego po drugim, niemniej jak trzydzieści chrabąszczy i nie był jeszcze dostatecznie nasycony. Należy jednak zaznaczyć, że nietoperz nie pożera twardych części ciała chrabąszcza, jak nóżek i pokryw skrzydłowych, ale tylko miękkie i w ogóle przekłada wszelkie miękkie pokarmy. Z tego wnieść można jaką niezmierną ilość nocnych ciem i leśnych owadów tępią nietoperze. Z tego względu służą one bezpośrednio ku ochronie lasów, w całem słowa tego znaczeniu. Przekonanie się o tem napotyka wprawdzie na niemałe trudności, gdyż przeprowadzenie dokładnych spostrzeżeń niełatwą jest rzeczą, ponieważ czynność nietoperzy rozpoczyna się dopiero, gdy człowiek udaje się na spoczynek, ustaje zaś wtedy, gdy się człowiek ze snu budzi. Pomimo to uznanie przysług wyświadczanych przez nietoperze coraz więcej się upowszechnia i jednocześnie z tem zaczyna znikać wstręt, jaki wiele osób uczuwa do tych unikających światła zwierzątek.

Zarządy lasów uznały także gruby błąd, jaki popełniano skazując na wycięcie wszystkie stare dziuplowate drzewa. Bardzo trafnie powiada Martin: Razem z rozwojem rólnictwa i leśnictwa uważano wszelkie stare wypróchniałe drzewa za bezużyteczne, ztąd padły one pod ciosami topora, ponieważ miano na oku bezpośredni jedynie pożytek, lecz bez porównania większego, pośredniego pożytku jaki takie drzewa przynoszą, w czasie powstawania nauki o »racyonalnem zagospodarowaniu« jeszcze nie znano i zdaje się, że i w obecnej chwili niedostatecznie o nim wiedzą, chociaż stary leśnik v. Wildungen już w 1813 roku gorąco się ujmował za nietoperzami i stanowczo utrzymywał, że liszka prządki rozmnożyła się w lasach około Hanau od czasu jak wycięto kilkanaście tysięcy starych dębów. Jeden z nowszych pisarzy powiada w tym przedmiocie: »W pismach leśniczych nie znajduję wzmianki o nietoperzach, a zoologowie załatwiają się z nimi w sposób świadczący, iż chcą rachować za pomocą wielkości niewiadomych. Należy przyznać, że obecnie upowszechniający się zwyczaj zakładania wszędzie po lasach i sadach skrzynek i koszyków na gniazda dla ptasząt, bardzo jest chwalebny i zasługujący na uznanie. Lecz te skrzynki i koszyczki nie zastąpią nigdy naturalnych dziupli drzewnych, gdyż najważniejsze z owadożernych istot, jak dzięcioły, sowy i nietoperze ze sztucznych takich gniazd korzystać nie mogą. Nie ma zatem innego zaradczego środka, jak pozwolić przyrodzie działać po swojemu i ochraniać stare wypróchniałe drzewa. Uwzględnienie tego faktu jest obowiązkiem wszystkich rólniczych i leśnych instytucyi, ponieważ ku wytępieniu zjawiających się w coraz większej liczbie szkodliwych owadów nie ma pewniejszego i tańszego środka, jak powołać do współdziałania owadożerne zwierzęta. Wszelkie inne sztuczne środki więcej przynoszą szkody niż pożytku i sprowadzają stan uniemożliwiający istnienie wielu uprawnych roślin.

W ogóle w Europie nietoperze odgrywają niezbyt wybitną rolę. Często wprawdzie, nawet w większych miastach, można o zmroku widzieć fruwające cichym lotem, wydające lekki świst istoty, ale tych, w porównaniu z innemi krajami, znajduje się niewielu. Środkowa Europa stanowi północną granicę ich pobytu; im dalej posuwamy się ku południowi, tem liczba nietoperzy się zwiększa, a z nią razem i rozmaitość ich gatunków. Południe, a w ogóle ciepła strefa obu półkuli jest prawdziwą nietoperzy ojczyzną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Św. Monika. Którejż matce ta wielka Święta nie będzie znaną. Wszak to wzór dla każdej żony, aby po pierwsze: pokorą, uległością, usłużnością i cierpliwością zdobywać sobie serce męża, gdy tenże usposobienia gniewliwego, upornego jest. Takie św. Monika dawała recepty żonom, które się przed nią uskarżały na mężów swych, iż niepowściągliwymi są w obec nich w czynie i języku: »Nie wiecie, iż gdyśmy zamąż szły i zapisy na małżeństwo nasze czyniono, iż zaraz jako niewolnice mężom zapisane jesteśmy. Przetoż próżno się nad panów naszych podnosić mamy; lepiej pomnieć na to, że niewolnicami ich jesteśmy«. Dokazała tego, że zatwardziały w pogaństwie mąż jako starzec przyjął wyznanie katolickie i umarł jako wzorowy chrześcianin. Św. Monika jest dalej wzorem i przykładem dla każdej matki, jak o dobro mniej cielesne, ile duchowe dzieci swych dbać należy. Jej to synem jest wielki doktór Kościoła św, Augustyn, który w młodych latach przeszedł do sekty Manicheuszów. Troskliwa o duszę jego matka tyle się namodliła, tyle przed Bogiem i w obec innych świętych mężów, których o zajęcie się naprawą syna błagała, łez wylała, że w końcu Bóg nad nią się ulitowawszy, synowi na łono prawdziwego kościoła wrócić dozwolił. Z wdzięcznością serdeczną wspomina o niej w pismach swych św. Augustyn. Miewała z nim bardzo budujące rozmowy. »Synu miły,« mówiła dość krótko przed śmiercią, »z strony mojej już mi nic pożądanego nie jest na tym świecie, w żadnej się pociesze jego nie kocham i nie wiem, co tu już w tem ciele czynić mam — pragnienie wszystko świeckie we mnie ustało. Dla tegom tylko trochę jeszcze przemieszkać na nim pragnęła, abym cię chrześcianinem, katolikiem przed śmiercią widzieć mogła.« Umarła, licząc 56 lat.

Wiek dziecięcy. Wesołe są lata najpierwszej młodości. Gdy raz przeminą nie powrócą więcej. Umysł młodociany, niczem nie zamącony, patrzy z swobodą, pogodą, świeżością i bystrością w świat Boży. Wszystko dziecko zajmuje, umysł zaś wrażliwy zastanawia się nad najdrobniejszem stworzeniem. Jakże pilnie, jakże troskliwie należy się tą rozwijającą roślinką zająć, aby duchowo nie zmarniała, aby wyrosła Bogu na pociechę, ludziom na pożytek. Od najwcześniejszej już młodości należy w dziecko wpajać bojaźń Bożą, należy wznosić umysł ku Panu Bogu, który jest Stworzycielem wszystkiego, co widzimy, należy wpajać weń zamiłowanie do swej mowy ojczystej, do historyi kraju swego. Należy je zapoznawać z dziejami ojczystymi, aby zapatrując się na wzory i przykłady przodków naszych, starało się wchodzić w ich ślady i kiedyś stało się użytecznem spółeczeństwu swemu. Trzeba jednak nie tylko słowem ale i przykładem własnym przyświecać dziecku, jednem słowem — trzeba żyć jego życiem. Te i tym podobne myśli nasuwają się, patrząc na obrazek na stronie 232.

Wieczór żywota. Przypatrzmy się obrazkowi okiem ducha. Na ławce widzimy siedzącego starca, tuż obok niego nakrycie głowy. W około widzimy drzewa i krzaki, obnażone z liści. Nastąpiła bowiem ponura jesień, ten wieczór żywota w przyrodzie, po którym następuje noc — zima, w której cała przyroda w głębokim pogrążona jest śnie. Oblicze starca jakoś poważnie zamyślone. Nad czem on na tem ustronnem, cichem miejscu dumać może? Nietrudno odgadnąć. Porównuje siebie z otaczającą go przyrodą i znajduje wzajemne podobieństwo. Ta przyroda w jesieni, ten wieczór żywota jest to wieczór jego żywota. I on czuje, że się ma z nim ku zachodowi. Zamyślił się... Przemknęły mu teraz niby mary senne chwile wesołej jego młodości, gdzie jako jedynak wśród kochających go rodziców przepędził chwile pełne swobody i tej swawoli, która jest udziałem tych szczęśliwych dziatek, które wyrastały pod ciepłem serca macierzyńskiego. Nie wiedział, co znaczy wyraz sierota. Nie czuł, ile w tym wyrazie smutku i goryczy. Miał więc prawdziwą wiosnę w życiu. Pełen ognia i zapału podjął walkę z życiem, powodziło mu się dobrze, żył w szczęśliwem małżeństwie, Bóg obdarzył go kilkorgiem ślicznych dziatek, które rozweselały ognisko domowe. Pełno miał w około znajomych i przyjaciół, którzy się licznie gromadzili u niego w tych chwilach szczęścia. Ale wiadomo, że na świecie niema trwałego szczęścia. Człowiek na to tu stworzony, aby przez ciernie i głogi tem pewniej zdobył sobie koronę na tamtym świecie. I na naszego starca spadać zaczął grom po gromie. Umarła mu naprzód w sile wieku najdroższa małżonka, którą kochał nad życie. Po niej pozabierał mu Pan Bóg dziatki do siebie — jedno po drugiem wybierało się w krainę, gdzie kończą się troski i kłopoty wszelakie, gdzie panuje szczęście i radość wiekuista, pozostawiając jego samego na tym padole płaczu. Powoli i bieda dokuczać mu poczęła i nieborak na stare lata ciężko na chleb powszedni pracować był zmuszony. Przyjaciele i ci wszyscy, którzy nieodstępnymi za dobrych czasów byli mu towarzyszami, teraz, gdy był w biedzie, zapomnieli o nim. I tak w troskach i kłopotach przepędza starzec wieczór swego żywota, prosząc w duchu gorąco Boga, aby i jemu pozwolił spocząć jak najrychlej — na zawsze.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp. w zast.: D. Kowalski w Bytomiu.

Współzawodnik.

Jest wiele ludzi na świecie, którym w życiu codziennem zawsze czegoś brakuje. Pożądają oni zwykle nadzwyczajności i stawają się przez to śmiesznymi. Takich ludzi nazywamy dziwakami. Do dziwaków należą zazwyczaj ludzie bogaci, którym życie niczego nie poskąpiło, którzy uczuwają przesyt wszystkiego i w końcu, gdy już zwykłe przyjemności światowe ich nie bawią, zdobywają się na nadzwyczajności. Dla tego też dziwaków najwięcej jest wśród Anglików, narodu w całym świecie najbogatszego.

Pragniemy tu opisać jeden taki wypadek dziwaczny, który się zakończył bardzo wesoło.

Żył sobie w Anglii przed dawnymi czasy człowiek, imieniem Łukasz. Był to sobie zacny kupiec, który zapobiegliwością i pracowitością dorobił się bardzo pięknego grosza. Uchodził też dla tego za bardzo wpływowego obywatela, gdyż majątek i wtedy już odgrywał wielką rolę. Wszyscy go poważali, jedna tylko śmierć mało się z nim liczyła. Znamy ją wszyscy i tak bogaty jak i ubogi, uczony i prostaczek, cesarz i żebrak, wszyscy się jej zarówno lękają. Nie pytała się ona o to, co znaczył na świecie pan Łukasz, przyszła i zabrała go tam, gdzie niema różnicy stanów, gdzie milioner tak dobrym jest jak największy nędzarz.

Ale i w tym kraju równości zapragnął pan Łukasz więcej znaczyć od innych. Na kilka lat przed śmiercią urządził sobie wspaniałą celę, w której, odosobniony od innych śmiertelników, pragnął spoczywać aż do sądnego dnia. Cela znajdowała się pod sklepieniem kościoła; podłoga jej wykładana była drzewem cedrowem a ściany pokrywały jedwabne tapety. Tu miała się mieścić ozdobna, złotem wykładana trumna, którą kazał przyozdobić jak jaki powóz hrabiowski. Na wszystkich czterech stronach mieściły się okna z szkła krzyształowego. Wszyscy zachodzili w głowy, na co panu Łukaszowi okna po śmierci. Przecież i tak nimi nic widzieć nie będzie, bo oczy będzie miał dla tego świata zamknięte. W końcu przeznaczył znaczniejszą kwotę dla kościelnego, który miał obowiązek opylać za to codziennie bardzo starannie pozagrobowe jego mieszkanie.

Tego ostatniego rozporządzenia nie możnaby panu Łukaszowi ganić, owszem pochwalić go trzeba, że i po za grobem pragnął mieć czysto w około siebie, ale że po za tem cierpiał na dziwactwo, pokazuje dalszy ciąg testamentu.

»Rozporządzam, ażeby co rok w rocznicę mej śmierci urządzano wielką ucztę na moją cześć i żeby wznoszono przytem me zdrowie. Zanim jednak wszyscy zasiędą do uczty, wymagam, ażeby poprzednio udało się całe towarzystwo w uroczystym pochodzie do kościoła i żeby ktoś donośnym głosem zawołał do mego grobowca: »Panie Łukaszu, jak się miewacie?«

Zastósowano się też ściśle do jego woli, boć przecie każdy mógł się za to za darmo dobrze najeść i napić. Pociągano też nieźle na zdrowie hojnego niebożczyka, gdy rocznica śmierci jego nastąpiła. Wszyscy udawali się wtedy w rzędzie po dwóch do kościoła i jeden z uczestników wołał zawsze do grobowca: »Panie Łukaszu, jak się miewacie?« Oczywiście, że na odpowiedź można było czekać do sądnego dnia.

W tym czasie przyszła też do lat jedynaczka zmarłego, Anna; natura upośledza zwykle córy, obfite w mamonę doczesną, żeby się nie czuły za szczęśliwe na niekorzyść współrówieśniczek. W tym jednak przypadku było przeciwnie. Panna Anna była obfitą i w pieniądze i wdzięki niewieście, dwa magnesy, które obficie przywabiały wielbicieli.

Pomiędzy nimi znajdował się dawniejszy buchalter ojca jej, pan Box, który wzdychał za majątkiem pana Łukasza, aby mieć równe jemu znaczenie w świecie. Zdawało się panu Boxowi, że łatwo przyjdzie w jego posiadanie, gdy się ożeni z panną Anną. Ale nieborak zrobił rachunek bez właściciela.

Żeby otrzymać pannę Annę, na to trzeba było jej przyzwolenia, a tymczasem panna Anna unikała Boxa jak ognia. Nie dziw też! Brakowało mu bowiem wszystkich tych przymiotów, jakimi młody zalotnik odznaczać się powinien. Figurę miał małą, przysadzistą, twarz okrągłą, prawdziwie księżycową, czuprynę, z której gęsto przyświecały siwe włoski. O takim chyba mężulku nie mogła sobie marzyć panna Anna. Przytem rozmowa z nim wydawała się jej nadzwyczaj suchą. »Ach! piękna pani,« skarzył się biedak pewnego dnia, »jak można być tak zimnym, chciałbym prawie powiedzieć, tak niewdzięcznym w obec mnie za to, że niejednokrotnie panią niańczyłem na mych kolanach, nosiłem na rękach!

Anna na te wylewy zbolałego serca pana Boxa odpowiadała wybuchem serdecznego śmiechu. »Toć pan przecież niańczyłeś także swą dozórczynię, czemuż pan z nią się nie ożenisz?«

Takie i tym podobne pigułki musiał biedny buchalter połykać za każdą razą, skoro tylko otworzył usta, by pomówić o sprawach serca swego. Pan Box był dzielnym rachmistrzem, ale z miłością się jednak przerachował. Pewien młody marynarz ubiegł go i wnet znalazł miejsce w serduszku panny Anny.

Pan Box wyglądał obok marynarza jak niedźwiedź obok wysmukłego konia. Nie dziw więc, że panna Anna, mając parę prawdziwie zdrowych ócz, przekładała pięknego, kwitnącego młodziana nad starego osiwiałego człowieczka. Opiekun panny patrzał na ten związek z początku cokolwiek krzywo, upatrując w młodym oficerze marynarki biedaka. Uspokoił się jednakowóż, gdy go pan Edward, tak było młodemu marynarzowi na imię, zapewnił, że otrzyma w posagu piękny mająteczek po wuju, który liczył wtedy ósmy krzyżyk, a który przywiązany był sercem całem do młodego kuzynka, gromadząc dla niego kapitały. Po tem oświadczeniu nie stało dwojga kochającym nic więcej na przeszkodzie. Wnet też przystąpiono do zaręczyn a ślub miał się odbyć w rocznicę śmierci pana Łukasza. Zaproszono na tę uroczystość rozmaitych gości, pomiędzy innymi pana Boxa. Pan Box był w dawniejszych latach zawsze obecnym przy uczcie za nieboszczyka odprawianej, tą razą jednak odmówił. Uniewinnił swą nieobecność chorobą. »Biedny człowiek!« drwili dowcipnisie, »widocznie kosz, jaki mu dała Anna, gniecie go tak bardzo.«

Towarzystwo udało się jak zwykle przed ucztą do kościoła. Edward musiał tą razą przemawiać do niebożczyka.

»Panie Łukaszu, jak się miewacie?« zawołał do grobowca.

»Kiepsko!« była odpowiedź głucha.

Wszyscy pobledli. Mężczyźni stali jak słupy, a kapelusze powypuszczali mimowolnie z rąk na ziemię; kobiety wydały okrzyk zgrozy i poupadały na ławki. Jedyny Edward nie stracił odwagi i mówił dalej:

»Kto się odezwał na dole?«

»Ten, do którego przemawiałeś!« odpowiedział głos, w którym znajomi niebożczyka poznali głos Łukasza.

»Mów dalej! czego żądasz?« zawołał Edward grzmiącym głosem do wnętrza.

»Nie mam w grobie spokoju!«

»Co ci w grobie dolega?«

»Związek ślubny mej córki, który ma w głowie mimo mego życzenia i woli.«

Anna zemdlała po tych słowach. Przyszedłszy do siebie, oświadczyła, że żoną jego zostać nie może.

Edward zaklinał ją, aby wróciła do równowagi umysłowej, szukając równocześnie błyszczącemi oczyma kościelnego, który stał w oddali.

»Przybliż się pan! Cóż też pan sądzisz o całej tej przedziwnej sprawie?«

Kościelny wzdrygnął ramionami, zapewniając, że się spodziewał tego, co zaszło

»Tak? — z jakiego powodu?«

»Słyszałem od dłuższego już czasu, gdy byłem sam w kościele, jakiś przerażający łoskot w grobowcu a nieraz żałośliwe jęki i wzdychania.«

»Z pewnością koty i szczury wyprawiają tam harce. Zejdźmy we dwoje na dół.«

»Nie, ani za królestwo nawet!« zawołał kościelny, cofając się z przerażeniam o kilka kroków.«

»W takim razie zejdę sam. Daj mi pan klucze!«

Kościelny odmówił tego stanowczo. »Wykroczyłbym przeciw memu obowiązkowi,« zawołał, »gdybym klucze z rąk mych wypuścił; przytem w Bogu spoczywający niebożczyk zaznaczył, że wolno z nim t y l k o z g ó r y s i ę p o r o z u m i e w a ć«

»Okoliczności zmieniają jednak sprawę,« odrzekł Edward. »Ponieważ panu Łukaszowi niedobrze się wiedzie, przeto jest powinnością naszą, odwiedzić go. Zatem dawaj pan klucze. Inaczej stać będę tu tak długo na warcie, dopóki ktoś o tym wypadku nie uwiadomi księdza proboszcza.

Kościelny pobladł na te słowa, zaczął biegać szybko w około, to znowu rozmawiać ze sobą, jednak w końcu drzącą ręką wręczył Edwardowi klucze do żelaznej bramy, przez którą dostać się było można do grobowca.

Oficer jak strzała zbiegł po schodach na dół. Pan Łukasz spoczywał w swej szklanej skrzyni tak spokojnie, jak go ułożono. Edward przeszukał całą celę i odkrył w końcu zasłonę podstawy, na której trumna się mieściła. Cóż tu ujrzał? Otóż pana Boxa, skulonego jak jeża, trzęsącego się z bojaźni. »Hurra!« zawołał radośnie Edward, »toż tu się obaj znajdujemy? Wynijdź-że Pan, panie Boxie i wypij przy mym ślubie puhar wina na nasze wzajemne powodzenie! To z pewnością lepiej Panu posłuży, jak siedzenie w takiej postawie i oddychanie grobowem powietrzem.«

Biedny buchalter był złamany na duchu i ciele. Znikła u niego wszelka odwaga, przytomność umysłu i mowa. Nie słyszał i nie widział nic naokoło siebie. Pozwolił się przez swego współzawodnika wyciągnąć z pod ławy i w tryumfie wyprowadzić do kościoła. Można sobie wyobrazić uciechę gości, gdy ujrzano biedną ofiarę miłości, której się w grobowcu najmniej spodziewano. Box, skoro tylko przyszedł nieco do siebie, wymknął się z kościoła, a kościelny prosił rozweselonych uczestników stypy, aby postarano się o to, iżby dla niego nie wynikły z tego powodu nieprzyjemności. W żadną dotąd rocznicę nie bawiono się też tak wyśmienicie, jak właśnie w tę, a do tej zabawy przyczynił się najwięcej pan Box, nieszczęśliwy współzawodnik w miłości pana Edwarda.

Praktyczne rady.

— **Woda kolońska, na sposób I. M. Fariny.** Profesor Strasburger z Bonn odkrył sekret słynnej fabryki I. M. Fariny, której wyroby uważane są za jedyne w swoim rodzaju. Przepis niezawiły i niekosztowny: W jednym litrze 85 proc. spirytusu winnego rozpuszcza się olejek, wyciśnięty z 10 skórek cytrynowych i 10 pomarańczowych; następnie do roztworu dodaje się po jednym gramie olejków: nerolowego i rozmarynowego. Zakorkowany szczelnie gąsiorek trzeba postawić przez 6—8 miesięcy w pokoju, dopóki nie wywiąże się znamienna woń, będąca cechą wyrobów firmy I. M. Fariny. Wtedy płyn przefiltrować i używać stósownie. Koszt przyrządzenia sowicie się opłaci, gdyż bez porównania jest mniejszy od ceny za wyrób oryginalny.

— **Hodowla hyacentów.** Chcąc mieć pięknie kwitnące hyacenty, trzeba je trzymać w wodzie w słojach umyślnie do tego robionych i obcinać część korzeni, skoro dojdą do 10 lub 15 cm. długości. Wybiera się do tego długie okrągłe cebulki i umieściwszy je w słoju szklanym, zalewa się wodą; dobrze jest przywiązać je czem, ażeby woda przykrywała wierzch cebulki. Słoje stawia się w miejscu zupełnie ciemnem i niezbyt ciepłem; od czasu do czasu trzeba do nich zaglądać i polewać wodą. Po miesiącu lub dłużej, skoro kiełki się pokażą, trzeba przenieść słoje na okno; co dwa tygodnie czyści się je i obmywa korzenie, czem zapobiega się gniciu cebulek. Hyacenty w ten sposób hodowane mają liście mniejsze, ale za to kwiaty większe i piękniejsze.

Rozmaitości.

* **Odkrywania źródeł wody.** »Korespondent rolniczy«. wychodzący w Warszawie, podał niedawno dwa sposoby odkrywania źródeł wody. Pierwszy z nich nazwać można naukowym, drugi nazywają »chłopskim«.

Pierwszy sposób znalezienia źródła jest następujący: Bierze się wapna niegaszonego, siarki, grynszpanu i białej mirry, wszystkiego po 5 łutów. Tę mięszaninę należy utłuc miałko w moździerzu, zmięszać dobrze, wsypać w nowy polewany garnek, przykryć wełną która sama z owiec spada, w ilości także pięć łutów, a sam garnek również przykryć pokrywką polewaną. Waży się skrupulatnie garnek z wszystkiem i stawia się w dół świeżo wykopany na stopę głębokości. Po 24 godzinach wyjmuje się garnek i znów ściśle waży. Jeżeli ubyło wagi — nie ma źródła w tem miejscu i trzeba gdzieindziej szukać, wkopując garnek. Jeżeli zaś garnek jest cięższy i przybyło wagi 2 łuty, woda będzie 75 stóp głęboko, przy 8 łutach na 25 stóp, a przy 10 łutach 12¹/₂ stóp.

Drugi sposób »chłopski« jest następujący: Na ziemi oczyszczonej z trawy, rozpościera się skórę owczą, wełną do góry, a w środku niej kładzie się świeże jajko kurze i przykrywa się garnkiem nowym niepolewanym. Doświadczenie należy zrobić wieczorem, gdy ziemia z wierzchu jest sucha. Nazajutrz rano garnek się zdejmuje i jeżeli wełna pod garnkiem i jaje pokryte są rosą, znak to niezawodny, że woda jest blisko pod powierzchnią ziemi. Jeżeli jajko jest suche, a tylko wełna pod garnkiem zroszona, to woda się znajduje głęboko, a gdy jajko i wełna są suche — wody nie ma wcale.

* **Drzewo palące.** Podróżnicy europejscy, zwiedzający strony podzwrotnikowe, dużo opowiadali i pisali o zagadkówem drzewie palącem, które boleśnie parzy ludzi i zwierzęta, jeżeli się go dotykają. Łacińska nazwa tego drzewa brzmi: »Lapertea crenulata«. Istotnie drzewo to, należące do gatunku pokrzywowatych, zawiera w sobie specyalną materyą, wydzielającą się przez włoski, okrywające niższą część liści i sprawiającą przy dotknięciu dotkliwy ból i zapalenie. Cwe włoski mają formę miniaturowych kolców, które wydzielają z siebie wilgoć, i ona to staje się przyczyną wielkich męczarni ludzi, nieostrożnie zbliżających się do drzewa. Kilka lat temu w ogrodzie botanicznym w Madrasie istniał egzemplarz »drzewa palącego,« który zwracał na siebie powszechną uwagę. Obok niego stał słup z napisem, ostrzegającym publiczność, by nie dotykała się liści. »Drzewo palące« należy do rodziny bardzo rozpowszechnionej w Azyi i najczęściej spotyka się w Himalajach, Assanie, w południowych Indyach, Birmie i na Ceylonie. W okolicach południowych »Lapertea crenulata« dosięga rozmiarów drzewa średniej wielkości. Ta szczególna i niebezpieczna roślina wydaje nieprzyjemny zapach, który ostrzega podróżnych. Oparzeliny, jakie sprawia, nie są groźne dla życia, lecz wywołują męczący ból, który trwa całymi miesiącami. Podróżni często bywali świadkami męczarni krajowców, którzy nieostrożnie dotknęli się liści palącego drzewa. Psy, oparzone tą rośliną, biegają jak wściekłe i kąsają zębami do krwi miejsca oparzone. Pewien misyonarz w Mandoli, oparzony drzewem palącem, chorował ciężko rok przeszło, a podleczywszy się trochę, przez długi czas jeszcze doświadczał bólów we wszystkich stawach.

* **We Francyi** ubywa ludności w przecięciu do wzrostu takowej po innych krajach, jak to stwierdził uczony francuzki Levasseur. Na jedno małżeństwo przypadało dzieci, licząc w procentach: między rokiem 1801 a 1815 4,24 proc., między 1821 a 1825 3,84 proc., 1841 a 1845 3,21, 1861 a 1865 3,07 proc., 1881 a 1885 3,03 proc., 1896 a 1889 2,96 proc. W roku 1886 było ogółem 10 mil. 425 tysięcy rodzin przeszło, z których 273205 nie miało wcale dzieci. Levasseur podaje następujące przyczyny obniżania się ludności: późne żeniaczki, drogie dzierżawy, zwyczaj rodziców, dawać córce jak najsutsze wiano, gdy wychodzi za mąż, ubieganie się za urzędami, droga żywność, skłon-

ność do zbytku i próżność, która napędza dziewczynom bojaźni, że po wyjściu za mąż stracą na figurze, a mężczyznom strachu przed wymaganiami małżeństwa. Być może, że w tem wszystkiem jest doza prawdy, ale tej prawdy może być tylko bardzo mało, bo kto się pragnie ożenić, ten nie patrzy na pomieszkania, które chyba w mieście są droższe, ani na inne drobnostki. Zepsuty duch czasu najwięcej wszystkiemu winien. Młodzież wyzyskuje młodość swą za bardzo, rujnuje w sobie zawcześnie zdrowie, czerstwość, ochotę do życia i ztąd pochodzi, że lęka się obowiązków małżeńskich.

* **Kodeks małżeński.** Jedno z pism galicyjskich ogłasza następujący kodeks małżeński:

§ 1. Żona jest głową domu.

§ 2. Mąż winien bezwzględne i stanowcze posłuszeństwo żonie.

§ 3. Główny cel życia męża polega na zarabianiu jak największej ilości pieniędzy.

§ 4. Mąż nie ma żadnych praw, tylko ma obowiązki; kobieta nie ma żadnych obowiązków, ma tylko prawa.

§ 5. Mąż winien milczeć, jak głaz, dopóki żona mówi; — żona powinna mówić bezustannie, dopóki mąż milczy.

§ 6. Mąż obowiązany jest bezzwłocznie wydalać się z domu, ilekroć żona uzna tego za potrzebne.

§ 7. Przez cały czas wolny od zdobywania pieniędzy mąż pozostaje zupełnie do rozporządzenia żony.

§ 8. Żona może robić, co jej się żywnie podoba, mąż pozostaje wciąż pod kontrolą żony.

§ 9. Wszystkie powyższe paragrafy opierają się na tym ostatnim, który brzmi: najświętszym obowiązkiem mężczyzny jest — ożenić się.

Dobry to koncept, ale w życiu jest inaczej — mężowie nie słuchają żon.

* **Leczenie czerwonych nosów.** Elektryczność z powodzeniem zastósował jako środek leczniczy przeciwko nosom czerwonym, wskazującym zbytnie zamiłowanie do butelki, specyalista chorób skórnych, prof. dr. Lassar. Dotąd pryszczami pokryte czerwone nosy leczono przez użycie odpowiednich środków antyseptycznych i ukłócia organu nabrzmiałego małym, ostrym scyzorykiem. Nudna to wszelako i bolesna operacya, nie dająca na domiar gwarancyi, czy nie pozostawi po sobie na nosie cienkich paseczków od blizn. Prof. Lassar skonstruował obecnie specyalny aparat elektryczny, skracając znacznie procedurę leczniczą. Motor elektryczny połączony jest z płytką metalową, opatrzoną w kilka tuzinów złotych małych igiełek. Można zatem od razu szpilkować cały nos, a nadto poddawać go sile prądu elektrycznego. Rezultaty dotąd osiągnięto bardzo pomyślne. Na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego w Berlinie profesor Lassar przedstawił dużo odcisków woskowych, przedstawiających wygląd nosów przed i po operacyi. Nadto procedura podobno wcale nie jest bolesna.

* **Niejeden** zadał sobie pytanie, kto podzielił dzień na 24 godziny, godzinę na 60 minut, a minutę na 60 sekund? Uczynili to babilończycy, u których oprócz systemu dziesiętnego, istniał system liczenia sześćdziesiętny. Dowodzi to ich zmysłu praktycznego, żadna bowiem cyfra w tyloraki sposób podzielić się nie daje, jak 60. Podróż dzienną słońca podzielili oni na 24 parasangi, czyli mile, a parasang na 60 minut. System babiloński wprowadził do Grecyi mędrzec Hipparchus, żyjący w r. 150 przed Chr.; przyjął go także Ptolomeusz, a z kolei i świat cały, nie domyślając się, komu zawdzięcza ten mądry wynalazek.

* **Węgiel kamienny** jest podstawą przemysłu W. Brytanii, źródłem jej bogactwa, wielkie też zaniepokojanie wywołał tam artykuł pr. Jewons, który na zasadzie rachunku dowiódł, że jeżeli konsumcya węgla będzie wciąż wrastać w tym stósunku, jak dotąd, pokłady tego cennego materyału opałowego za stodziesięć lat wyczerpią się zupełnie. Parlament zajął się tą sprawą i wyznaczył komisyą do zbadania pokładów węgla w W. Brytanii. Komisya wykazała, że kraj posiada jeszcze 146 miliardów ton węgla, ale mimo to za 102 lata już go nie będzie w Anglii ani kawałka. Zanim jednak to nastąpi geniusz ludzki inne wynajdzie motory; zamiast pary będziemy mieli wodę, elektryczność i inne siły, które dotąd drzemią.

ŻARTY.

Wszystko się zmienia.

— Słuchaj Maryniu, — mówi mąż z wyrzutem do żony, — już znowu znalazłem dziś włos w potrawie!

— Jacy wy mężowie zmienni! — odpowiada żona, — przed ślubem chciałeś mię zjeść z miłości, a teraz już jednego włoska mojego przełknąć nie możesz!

Chybiona przestroga.

Matka: Dziecko kochane, namyśl się dobrze, zanim wstąpisz w związki małżeńskie. Mężczyzni stają się teraz z dnia na dzień gorszymi.

Córka: Skoro tak jest, toć chyba tem więcej muszę się spieszyć, aby wydać się za mąż. Im dłużej będę bowiem czekała, tem gorszego męża dostanę.

O pieniądzach.

Nauczyciel: Co są pieniądze?

Uczeń: Pieniądze są początkiem mądrości...

— Kto ci to powiedział?

— Mój ojciec zawsze mówi, że bez pieniędzy to człowiek cały głupi...

W szpitalu.

Lekarz (bardzo młody): Uważacie, zrobię wam tu małe cięcie... a co wolicie przy operacyi: kokainę czy eter?

Chory: Jabym prosił pana doktora o kieliszek wódki!

Jeśli chcesz długo żyć w pamięci ludzi, miej jak najwięcej wierzycieli.

Wszyscy o tobie zapomną: krewni, przyjaciele, narzeczona, nawet nieprzyjaciele, tylko wierzyciele pamiętać o tobie będą zawsze.

Jeśli pragniesz uparcie, mieć u braci poparcie, to przy winie i karcie dawaj im sute... jedzenie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.